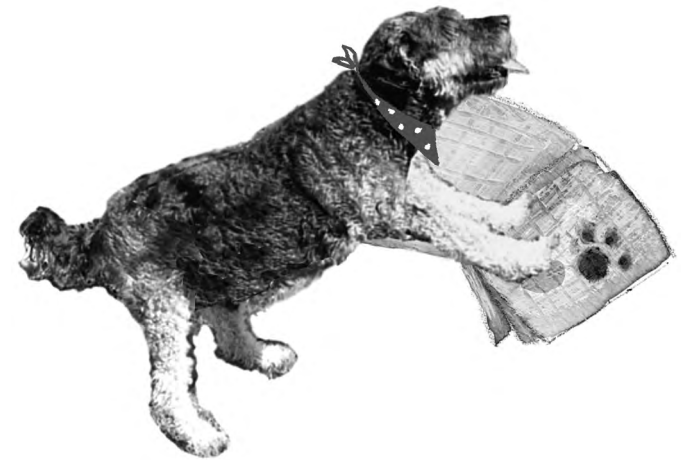


Pamiętnik Felka
Parensa

Mojej małej Zuzi

Ewa Chotomska

Pamiętnik Felka
Pareasa



Ilustrowała Ewa Poklewska-Koziełło



Ewa Chotomska
Pamiętnik Felka Parerasa

© by Ewa Chotomska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Ewa Poklewska-Koziełło

Korekta:
Karolina Drucka

Wydanie XIV, Łódź 2022

ISBN 978-83-8208-134-3

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Z pamiętnika Felicjana... Nie, to nie pasuje. Z pamiętnika Felka... Też niedobrze. A może... Z pamiętnika Felika? – bo to się rymuje. Zaraz, zaraz, muszę posłuchać tego jeszcze raz: Z pamiętnika Felika. Nie, zdecydowanie nie!

A może tak: Pamiętnik Felicjana. Hm!... Też nie! Pamiętnik Felicjana Parerasa... To brzmi lepiej, ale trochę za oficjalnie. Zaraz, zaraz – ciepło, ciepłej, gorąco! Wiem! Pamiętnik Felka Parerasa! To brzmi bardzo elegancko i naj-
lepiej pasuje do nazwiska.

A zatem piszę tak:

Pamiętnik Felka Parerasa

W życiu każdego przychodzi taki moment, że dorasta – powtarzam – dorasta, a może, jak kto woli, dojrzewa do wspomnień. A wspomnieniami miło jest się z kimś dzielić, prawda? Najlepiej podzielić się nimi z kimś drugim, trzecim, czwartym... A jak to zrobić? To proste jak naciągnięta smycz! Zapisując wszystko, co się chce opowiedzieć w pamiętniku.

A zatem dzisiaj, trzydziestego pierwszego lipca roku... roku... Zaraz, który jest teraz rok? Hm, nie wiem! Ale to chyba nie ma większego znaczenia. A zatem dzisiaj zaczynam pisać ten pamiętnik własnołapnie, co niniejszym zaświadczam tym oto odciskiem łapy.

Zaczynam od tego, co wydarzyło się dwanaście lat temu...



Trzydziestego pierwszego grudnia zaczęło się moje nowe życie. Dzień był dość ciepły jak na tę porę roku, więc kręciłem się trochę bez celu po klatce, utykając na prawą łapę. Nienawidziłem tego miejsca i choć wszędzie dookoła miałem mnóstwo kolegów dużych i małych, młodych i starych, wysokich i niskich, długich i krótkich, ciemnych, jasnych, w ciapki, kropki, łatki, z sierścią długą, krótką, czasem poskręcaną jak u owieczki – czułem się nie najlepiej.

Byłem tu już kilkanaście dni i coraz bardziej tęskniłem za mamą i naszym ciasnym, ale własnym domkiem na podwórku, na którym dzielnie zaganiałem kury do kurnika, za krową Pelką, z którą bawiłem się w berka, i za kotami Czarnym i Emilem – moimi towarzyszami zabaw w chowanego. Tęskniłem nawet za kogutem Bartkiem, który z uporem maniaka budził wszystkich o świcie głośnym:

– Kukuuuurrrrrryyykuuuuu!

Brak mi było także kobyły Baški, do której nie pozwalano mi się zbliżać.

Któregoś dnia, kiedy Baška pojechała gdzieś z Krzykliwym, postanowiłem pobiec ich śladem. A kiedy tak biegłem i biegłem, zdarzyło się to, co tak bardzo zmieniło całe moje życie. Ze strasznym piskiem zatrzymało się na mnie jakieś wielkie pomarańczowe pudło i...

Dalej nic nie pamiętam. Kiedy się obudziłem, leżałem już tu, za tymi drutami. Przede mną stała miska z wodą i druga z czymś gęstym i dziwnym. A ja miałem na prawej przedniej łapie jakiś wielki, ciężki, biały kloc. Ani się to z czymś takim ruszyć, ani podrapać. Co z tym zrobić? Jak się tego pozbyć? Może to zjeść?

Kiedy próbowałem rozwiązać ten problem, mocno się w ten kloc wgryzając, usłyszałem rozmowę dochodzącą z drugiej strony klatki.

– Patrzcie, jaki ten piesek inteligentny! Obgryza założony na łapę gips. Skąd on wie, że gips to wapń, a wapń jest potrzebny do budowy kości? No, no, no! Ciekawostka!

Dumny z tego, co usłyszałem, ze zdwojoną energią ciężko nad zdjęciem gipsu dniami i nocami pracowałem. Wreszcie udało się. Moja przednia prawa łapa była uwolniona. Tylko nie wiedzieć czemu, przy każdym ruchu bolała. Bolała też wtedy, kiedy ze wszystkich stron rozległ się wielki hałas. Jedni przez drugich krzyczeli tak głośno, że zupełnie nie mogłem się połapać, o co chodzi.

– Co takiego, wizyta? Ktoś przyjechał? Nie wiecie do kogo?

Przez chwilę nawet przemknęło mi przez myśl, że może to przyjechał Krzykliwy z mojego podwórka i wreszcie wrócę do mamy. Stałem więc na swoich czterech łapach najładniej jak mogłem, zadarłem łebek do góry i...

Zobaczyłem dwie nogi, długie futro i na koniec parę czarnych oczu, wpatrzonych we mnie jak pies w kość. Oczy wydawały się mówić: „Jaki on jest śliczny i jakie ma mądre oczy!”

– Ten albo żaden! – powiedziała sama do siebie właścicielka futra.

Potem wszystko poszło bardzo szybko. Roześmiana, ta, która mi przynosiła codziennie miski, zabrała mnie do jakiegoś ciepłego pomieszczenia i wbiła w sierść coś strasznie kłującego, po stokroć gorszego niż ukłucie osy. Następnie podała tej w futrze białą kartkę do podpisania i wzięła od niej mniejszy, kolorowy papierek. Dużo później dowiedziałem się, że taki papierek to banknot, czyli papierowy pieniądz, i można za niego kupić dużo, a nawet bardzo dużo tego, co my Felusie lubimy najlepiej, czyli ko... No przecież nie kogutów, koni czy kopytek. Także nie konevek, kocyków i koników polnych, tylko... kości.

Już po chwili właścicielka dwóch nóg w długim futrze, pięknie się uśmiechając, wzięła mnie na ręce i zaniósła do wielkiego wiśniowego pudła na kołach. Zrobiła jakies: „Piii!”, drzwi się otworzyły, a ja spadłem na duże szarobure legowisko.

Nie czułem się dobrze w tym pudle, które z wielkim hukiem ruszyło przed siebie. Wszystko w nim tak dziwnie pachniało i słychać było bardzo głośne, regularnie brzmiące „Brrrrrrrrr”, które sprawiło, że natychmiast zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, stała przede mną moja znajoma para nóg w futrze. Wzięła mnie z trudem na ręce, trzasnęła drzwiami, zrobiła znowu „Piii”, potem otworzyła zupełnie inne drzwi i powoli, wspinając się po kilku schodkach, przeniosła mnie do innego pudła.

Wychodził z niego akurat wielki, strasznie naburmuszony buldog. Na mój widok bardzo głośno i groźnie zawarczał. Coś tam odburknąłem i już chciałem się na niego rzucić, kiedy przed moim nosem zatrzasnęła się jakaś krata, a ja wylądowałem na podłodze tego niewyglądającego za ciekawie pudła.

Było ono dużo mniejsze od tego wiśniowego na kołach. Za to wyższe i o wiele mniej wygodne. Nie było w nim też niczego do siedzenia. Trzeba było stać i stać, a dookoła zrobiło się strasznie dużo nóg.

– Proszę nie zamykać windy! – krzyknęła jakaś gruba postać, wpychając się do i tak już zatłoczonego pomieszczenia.

Co to znaczy winda? Czy ja jestem w windzie? Czy musi tu być tak ciasno? Ojej, dlaczego podłoga się rusza? Co ze mną będzie?

Nie miałem odwagi podnieść łba do góry i byłem już bliski płaczu, kiedy nagle coś stuknęło, puknęło, zrobiło się widniej i powoli różne nogi ruszyły do przodu, każąc mi iść za sobą. Zaparłem się co sił w łapach, ale to nic nie dało. Powoli, powolutku, popychany delikatnie do przodu, wylądowałem na czymś lekko drapiącym przed drzwiami, które się nagle otworzyły, i...

Stała za nimi Moja. Od pierwszej chwili ją polubiłem. Doskonale pamiętam, jak powiedziała:

– Jaki on śliczny! Czy on jest mój?

I tak zaczęło się moje nowe życie w nowym domu na siódmym piętrze na warszawskim Powiślu, pięknej zie-

lonej dzielnicy położonej, jak sama nazwa wskazuje, nad Wisłą – największą polską rzeką. O czym dowiedziałem się znacznie później.

Moja miała na imię Karolina. Miała kilkanaście lat i chodziła do liceum, czyli do szkoły dla prawie dorosłych dzieci. Teraz została moją nową mamą, a ta, która mnie tu przywiozła, była po prostu mamą mojej nowej mamy.

Moje nowe mamy od razu zaczęły się zastanawiać, jak mnie nazwać. Bo byłem przecież bez imienia i większość osób mówiła do mnie „pies”. Czasem „pieseczek” albo „psinka”. A ja nie umiałem im powiedzieć, jak wołali na mnie kiedyś. Zresztą czy to takie ważne? Jak się zaczyna nowe życie, to przecież można je zacząć z nowym imieniem, prawda?

Dostałem je dopiero następnego dnia, w Nowy Rok. Ale o tym za chwilę. Bo chciałbym jeszcze opowiedzieć, co się zdarzyło tego samego dnia wieczorem.

Nie minęło dużo czasu, kiedy moja nowa mama i jej mama wsadziły mnie z powrotem do wiśniowego pudła. Byłem wystraszony, że może im się już znudziłem i odwiozą mnie do tej ohydnej zimnej klatki, ale okazało się, że nic podobnego. Przywiozły mnie do – jak się potem okazało – mamy mamy mojej nowej mamy, czyli do babci.

To już koniec! – pomyślałem. – Będą mną rzucać jak piłką z jednego domu do drugiego.

I co będzie ze mną dalej? Czy tak będzie wyglądało całe moje życie?

Tego dnia był sylwester, czyli ostatni dzień starego roku. Większość ludzi spotyka się wówczas z przyjaciółmi, aby przy zabawie o północy wspólnie powitać Nowy Rok.

Moja nowa mama i jej mama, elegancko ubrane i bardzo mocno pachnące czymś bardzo dziwnym, czego nigdy wcześniej nie czułem, pożegnały się z babcią, zamknęły drzwi, a ja zostałem pośrodku wielkiego pokoju na czymś miękkim i kolorowym, co przypominało łąkę za płotem, ale nią nie pachniało. Babcia wybiegła za nimi na korytarz, aby zapytać, kiedy ostatni raz się załatwiałem, ale Moich już nie było.

Stałem jak ta sierota, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Babcia, przypuszczając, że może chce siusiu, ubrała się ciepło i zwiozła mnie swoim pudełkiem, czyli windą, na dół. Przeszliśmy się dookoła bloku. Ja z nosem wbitym w ziemię, babcia wpatrzona we mnie. I nic. Wróciliśmy do domu. Za jakiś czas znowu zjechaliśmy na dół. Robiło się coraz ciemniej i coraz więcej nóg w futrach, szeleszczących sukniach do ziemi i w bardzo błyszczących butach przechodziło koło mojego nosa. Niektóre z nich zamieniały z babcią kilka słów, ta im coś tłumaczyła i wskazując na mnie, mówiła:

– No proszę cię, zrób siusiu! Jedno malutkie siusiu, zgoda?

Jakoś nie miałem na to ochoty. Do dziś nie wiem dlaczego. Skąd wzięła się we mnie taka blokada? Czy to z powodu stresu?